

## Przytulki dla dzieci w międzywojennej Polsce

### Słowo klucz

Ksawery Pruszyński ujął to tak: „Taśma ruchoma dziecinnych kolebek, jedyna w Polsce taśma, której bieg nie uległ większemu zwolnieniu, wyrzuca rotacyjnie roczniki nowych ludzi na przeludnioną wieś”<sup>1</sup>. Wrażenie przenikliwego obserwatora, jakim bez wątpienia był Pruszyński, potwierdza obiektywnie odnotowywana eksplozja demograficzna. W Polsce lat 30. tempo biologiczne przyspiesza, a gospodarcze wyraźnie zwalnia. Między tymi rozchodzącymi się wartościami dochodzi do desperackich decyzji porzucania dzieci przez wynędzniałe lub upośledzone matki. Wprowadzam tu rozgraniczenie na wynędzniałe i upośledzone, ponieważ – wbrew powszechnemu mniemaniu – nie wszystkie dzieci były pozostawiane z powodu niewydolności ekonomicznej dorosłych albo w efekcie restrykcyjności obyczajowej społeczeństwa. Wiele z nich cierpiało na skutek subnormalności intelektualnej i emocjonalnej rodziców. Używam określenia „subnormalność” jako najbardziej neutralnego i nienacechowanego aksjologicznie, a także nienarzucającego jakichkolwiek prób wartościowania zachowań ludzi uchylających się od opieki nad własnymi dziećmi. Biorę pod uwagę nie tylko wymogi politycznej poprawności, ale także ostrzeżenie artykułowane przez wielu historyków kultury badających skrajne zachowania ludzi: nie sądzmy, jeśli nie byliśmy obecni.

Niezbędne jest w tym miejscu zastrzeżenie, że w Polsce międzywojennej odpowiedzialnością za porzucanie dzieci obarczano wyłącznie kobiety. Płeć rodzicielstwa była jasno określona. Kiedy gazetowe kroniki kryminalne informowały o znalezieniu martwego noworodka, a tego typu doniesienia nie należały w ówczesnej prasie do rzadkości, wtedy zawsze pojawiała się w nich

---

<sup>1</sup> K. Pruszyński, *Żółci ludzie z Łodzi*, „Wiadomości Literackie” 1936, nr 25, s. 1.

enigmatyczna winowajczyni „wyrodna matka”, winy ojca nie brano w ogóle pod uwagę<sup>2</sup>.

Ojcowie łatwo unikali odpowiedzialności. Wystarczyło, że nie mieli ślubu z matkami swoich dzieci, co w praktyce zwalniało ich z obowiązku wychowywania potomstwa.

Dzieci pozbawione opieki dorosłych, do których nie przyznawali się rodzice, nazywano podrzutkami.

Wyraz ten był słownikowym określeniem dziecka opuszczonego „przez matkę” – tak wyjaśniały ówczesne leksykony, uzupełniając, że jest to „dziecko z nieprawego łoża”<sup>3</sup>. Rolę ojca słowniki pomijają. Używane było również słowo „sierota”, odnoszące się – podobnie jak współcześnie – do dziecka, którego biologiczni rodzice zmarli. Po I wojnie światowej dzieci osieroconych było zresztą relatywnie dużo. Spis ludności w 1921 r. pokazał, że w Warszawie było prawie 15% sierot i półsierot<sup>4</sup>.

Dzieci, których rodzice żyli, ale zostawiono je na łaskę instytucji opiekuńczych, nazywano zwykle podrzutkami. W zasobie leksykalnym polszczyzny nie ma natomiast odrębnej nazwy dla osoby, która dziecko porzuciła.

Rzeczownik odczasownikowy „podrzutek” był używany dość powszechnie i bez zastrzeżeń. Nazewnictwa stygmatyzacja, obejmująca wyłącznie dzieci, wynika z bliskości z czasownikiem podrzucić – komuś coś niepotrzebnego, kłopotliwego, zbędnego, jak worek ze śmieciami albo kukułcze jajo. Tak wyrażony leksykalnie status odpowiadał atmosferze społecznej niechęci do przejmowania koniecznej opieki nad opuszczonymi dziećmi. Świadomość, że przechodzą one na rachunek ogółu nie była neutralna. Odbierano je jako ciężar, a pokłosie tego myślenia jest zauważalne nawet w relacjach pisanych z perspektywy troski i empatii. Autorzy sprawozdań z domów wychowawczych chętnie pisali o sumach wydawanych na opiekę, co należało do zasobu argumentacji w artykułach piętnujących to zjawisko. „Sieć zakładów [...] różnego typu pokrywa całą Polskę – pisała Wanda Woytowicz-Grabińska – Przeszło 50 tysięcy dzieci i młodzieży znajduje w nich opiekę. Ponieważ przeciętny koszt utrzymania dziecka w zakładzie wynosi dzisiaj dwa złote, więc około 100 tysięcy dziennie wydaje społeczeństwo na wychowanie obywatelskie

---

<sup>2</sup> Przykładem takiej informacji jest notatka *Makabryczny połów*, mówiąca o odnalezieniu noworodka w podmiejskim stawie w Świętochłowicach, „Polska Zachodnia” 1935, nr 57.

<sup>3</sup> M. Arct, *Słownik ilustrowany języka polskiego*, wyd. 3, Warszawa 1929, s. 562. Słowa „podrzutek” używano także w znaczeniu przenośnym i oznaczało ono „nędzny utwór literacki”.

<sup>4</sup> M. Kolankiewicz, *Schronienie. Historia Domu Małych Dzieci ks. Baudouina*, Warszawa 1997, s. 46.

dzieci”<sup>5</sup>. Przy okazji liczenia wydatków, reporterka „Bluszczu” podkreśla niepewność rezultatu wychowawczego, a używane przez nią określenie – „chowa się na opiece społecznej” – ma dość negatywny wydźwięk.

Podrzutek nie był zatem efektem niefortunnej słowotwórczości, odpowiadał miejscu, jakie przypisano tym dzieciom w hierarchii społecznej.

Jest więcej słów kluczcy umiejscawiających dziecko w relacjach kolektywnych, zanim jeszcze ono samo ma na nie jakikolwiek wpływ: wylęganiec, znajda, znajdka<sup>6</sup>, bękart, bastard, bachor czy gwarowe, aczkolwiek wiele mówiące słowo: najduch.

## Podrzucić podrzutka

Istniały różne sposoby porzucania dzieci. Niemowlaka zostawiało się przed przytułkiem, w bramie kamienicy albo w jakimkolwiek miejscu, gdzie tylko dało się to zrobić dyskretnie. W Warszawie najwięcej dzieci pozostawiano w Domu ks. Baudouina. Była to najstarsza i największa instytucja opiekuńcza w Polsce, założona przez ks. Gabriela Piotra Baudouina, w której opiekę sprawowały szarytki – Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia. Warszawski Dom Podrzutków oficjalnie rozpoczął działalność w 1736 r. w kamienicy na Krakowskim Przedmieściu. Przed wejściem umieszczono napis *Oyciec mój y matka moia opuscili mnie, ale Pan przyjął mię*<sup>7</sup>. Później przytułek został dwukrotnie przeniesiony, najpierw na pl. Warecki, a potem na ul. Nowogrodzką 75, gdzie funkcjonował w okresie międzywojennym. W ciągu dwustu lat działalności znalazło w nim schronienie 100 tys. dzieci, które początkowo znakowano na niewidocznej części ciała<sup>8</sup>.

W murze budynków istniało tzw. koło – miejsce umożliwiające anonimowe oddawanie niemowląt. Był to mechanizm znany w Europie już od XIII w. Pierwsze tego typu urządzenie zamontowano w 1204 r. w rzymskim przytułku Conservato della ruota<sup>9</sup>.

---

<sup>5</sup> W. Woytowicz-Grabińska, *Bez gniazda*, „Bluszcz” 1933, nr 10, s. 9.

<sup>6</sup> Hania, mała bohaterka wydanej w 1938 r. *Ulicy ogrodowej* Andrzeja Wolicy, skarży się: „I wie pan, że w szkole to inne dzieci się z nas śmieją. I czasem nie chcą się bawić. Wołają: «Znajdki – parami do domu»”; A. Wolica, *Ulica ogrodowa*, Warszawa 1960, s. 93.

<sup>7</sup> *Uroczystość dwóchsetlecia działalności Domu ks. Boduena*, „Opiekun Społeczny” 1936, nr 12, s. 2.

<sup>8</sup> E. Bartkowiak, *Formacje zakonne wobec problemu dzieci pozbawionych opieki w Polsce w latach 1918–1939*, Zielona Góra 2009, s. 43.

<sup>9</sup> Por. M. Kolankiewicz, *op. cit.*, s. 11.

W Domu ks. Baudouina w 1871 r. kołowrotek próbowano zlikwidować, tworząc równocześnie „Biuro jawnego przyjmowania dzieci”, jednak oficjalna forma okazała się niewystarczająca, stąd ponowne umożliwienie anonimowego przekazywania niemowląt i przywrócenie koła w murze. Od 1907 r. koszty związane z utrzymaniem tej instytucji, podobnie jak innych zakładów opiekuńczych, przejęła gmina miasta stołecznego Warszawy lub inne magistraty, adekwatne do miejsca lokalizacji.

W piśmiennictwie międzywojennym używano spolszczonej i uproszczonej nazwy: Dom ks. Boduena lub wymiennie Dom Wychowawczy.

Pozostawienie niemowlęcia w kołowrotku nie było trudne, ale zdecydowano się również na porzucanie większych dzieci, samodzielnie poruszających się i mających świadomość strachu. „Podrzucano dzieci – relacjonuje Henryk Rubinraut – nieraz czteroletnie i pięcioletnie, za mało rozgarnięte, aby wskazać miejsce swego zamieszkania, a czasem w zмовie z rodzicami tające swe pochodzenie”<sup>10</sup>. Reporter „Wiadomości Literackich” dodaje: „Ogromną większość jednak stanowią kilkudniowe niemowlęta kobiet niezamężnych”<sup>11</sup>.

O dzieciach pozostawianych w Miejskim Domu Wychowawczym w Łodzi pisze Edward Ziegler: „Mamy tu dzieci mamek przyjmowane wraz z nimi z zakładów położniczych, mamy tu sieroty, mamy dzieci kobiet, które nie mają mieszkania i środków do życia, mamy i dzieci nieślubne, przywożone z dalekiej prowincji, wreszcie niemowlęta, znajduwane w polu, w podwórzach, na ulicy, na schodach, nawet w dołach biologicznych. Podrzutki są zazwyczaj przyjmowane do nas w stanie bardzo ciężkim: sine, zmarznięte, wycieńczone, gorączkujące”<sup>12</sup>. W innych ośrodkach przekrój podopiecznych musiał być zbliżony.

Dzieci starsze porzucano rzadziej. Zostawiano je w ciągu dnia w publicznym miejscu, zapewne obiecując rychły powrót. Po czasie, gdy nikt się do nich nie przyznawał, trafiały na komisariat. Sprawami bezdomnych dzieci zajmowała się policja kobieca, powołana na początku lat 20., ale realnie funkcjonująca od połowy następnej dekady. Paradoksalnie, powołanie żeńskich komisariatów w Warszawie i w Łodzi, które zajmowały się tego rodzaju przypadkami, spowodowało wzrost liczby porzuconych dzieci w tych właśnie miastach<sup>13</sup>.

---

<sup>10</sup> H. Rubinraut [H. Babiniak-Rubinraut], *Podrzutki czystej i nieczystej rasy*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 49, s. 2.

<sup>11</sup> *Ibidem*.

<sup>12</sup> E. Ziegler, *Pierwszy Miejski Dom Wychowawczy dla niemowląt w Łodzi*, „Opieka nad Dzieckiem” 1931, nr 5, s. 218.

<sup>13</sup> J. Starczewski, *Porzucanie dzieci w Polsce i w Warszawie*, „Opiekun Społeczny” 1937, nr 15, s. 14.

Podobny skutek, jak twierdzi Jan Starczewski, przyniosło zainteresowanie prasy działalnością Domu ks. Baudouina, które związane było z obchodami dwustulecia istnienia, w grudniu 1936 r. Najwyraźniej desperacji matek towarzyszyła racjonalna kalkulacja, biorąca pod uwagę dobro dziecka.

Sytuacja starszych dzieci musiała być wyjątkowo trudna, ponieważ po przekazaniu do Domu Wychowawczego poddawane były kwarantannie, zaczynając się od zabiegów higienicznych – kąpania, przebierania i badań. Dzieciom, które miały wszawicę, obcinano włosy. Tak zaczynała się trzytygodniowa, przymusowa izolacja, aby nowi podopieczni nie przynosili ewentualnych chorób na pozostałych wychowanków. Charakterystyczne, że relatywnie dużo miejsca w relacjach z zakładów opiekuńczych poświęcano rygorom higienicznym. Wprawdzie trudno się temu dziwić, skoro wybuch epidemii narażał wychowanków na śmiertelne niebezpieczeństwo, ale prawa były drakońskie i często trudno znaleźć dla nich racjonalne uzasadnienie. „Odwiedzać dzieci [w Domu ks. Baudouina] można 2 razy w miesiącu. Z powodu obawy przed infekcją nie zawsze rodzice dopuszczani są na oddział, widzenie dzieci zazwyczaj odbywa się przez okienko”<sup>14</sup>.

Jak ciężko dzieci znosiły procedury inicjalne opisuje Maria Kuncewiczowa, która widziała izolatki w Domu ks. Baudouina. Pisarka zwróciła uwagę na sześciolletnią dziewczynkę, całkowicie ostrzyżoną, znaną opiekunom z uporczywego podejmowania prób ucieczki przez okno. W Pogotowiu Opiekuńczym, instytucji powołanej w połowie lat 30., dzieci przechodzące kwarantannę mogły przebywać w kilkunastoosobowej grupie, co być może łagodziło ich poczucie osamotnienia i odwracało uwagę. Zorganizowanie sal przeznaczonych dla kilkunastu dzieci równocześnie samo w sobie świadczy o skali zjawiska i o zabezpieczanej gotowości na przyjęcie podopiecznych.

Jednak statystyki z dwudziestolecia były mniej dramatyczne niż te znane z XIX w. Zmniejszała się liczba dzieci znalezionych w kołowrotku lub oddawanych jawnie. W warszawskim kole w murze Domu ks. Baudouina w XIX w. pozostawiano rocznie około 2,5 tys. dzieci, ale zdarzały się wyjątkowo trudne lata. Największą skalę proceder ten osiągnął w 1847 r., kiedy odnaleziono tam prawie 5 tys. niemowląt, co oznacza, że dziennie przybywało ich około 14. Statystyki międzywojnia są o połowę niższe (w 1932 r. – 1234 dzieci), chociaż w tym czasie populacja Warszawy wzrosła o niemal milion mieszkańców. Mniejsza liczba niemowląt porzucanych w samym Domu ks. Baudouina

---

<sup>14</sup> W. Tarnawska, *Warszawa dziecku opuszczonemu. Z Domu Wychowawczego im. ks. Baudouina*, Warszawa 1934, s. 67.

więzała się także z powstaniem innych instytucji opiekuńczych. Łącznie w samej Warszawie różnego typu domów wychowawczych było niemal sto. Dla niemowląt przeznaczone były przede wszystkim: Dom Opieki przy Głównym Domu Schronienia Starozakonnych, schronisko dla matek z dziećmi Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet (przy ul. Wawelskiej) oraz Towarzystwo „Ratujmy Niemowlęta” przy ul. 11 Listopada 5 i 68. Towarzystwo wybudowało również nowy dom na działce przekazanej przez miasto na ul. Przybyszewskiego 47, na Żoliborzu. Do schroniska przyjmowano jedynie kobiety mające prawo do opieki w Warszawie<sup>15</sup>. Z czasem towarzystwo rozwinęło działalność w innych miastach Polski. Dzieci, które skończyły cztery lata, kierowano do Pogotowia Opiekuńczego dla Dzieci, mającego status zakładu obserwacyjno-rozdzielczego.

Zatrważające informacje o przytułkach to nie tylko ilość zostawionych dzieci, ale przede wszystkim bardzo wysoka śmiertelność podopiecznych. Jan Starczewski twierdzi, że sięgała ona nawet 90%<sup>16</sup>, choć nie precyzuje okresu, w którym przytułek stał się aż do tego stopnia umieralnią. Jednak nie ma wątpliwości, że sytuacja cały czas była rozpaczliwa, co pokazują wyliczenia obejmujące lata 1911–1936 w Domu ks. Baudouina, z których wynika, że spośród 27 339 dzieci, które tam trafiły, zmarła ponad połowa, aż 14 337. Beznadziejną wymowę tych statystyk można wiązać z przypuszczeniem, że część podopiecznych trafiała tam już w stanie zaawansowanej choroby. Osiemnastowieczna nazwa – Szpital Dzieciątka Jezus – być może dawał bezradnym matkom jakąś płonną nadzieję na odratowanie chorego niemowlęcia.

Dramatyczny był 1919 r. z 76-procentową umieralnością, w latach 30. sytuacja ulegała stopniowej poprawie, w 1936 r. zmarło 23% wychowanków. Przytułki miały złą sławę i nawet najbardziej zdesperowane i wynędzniałe matki musiały to wiedzieć. Zasadne jest wobec tego pytanie, w jak beznadziejnej sytuacji same musiały się znajdować, skoro decydowały się na pozostawienie dzieci w tych miejscach? Istotne wydaje się też ustalenie, co w rozstrzygający sposób wpływało na ich decyzje? Niemożność podjęcia opieki z powodów ekonomicznych czy upokorzenie społeczne z powodu nieślubnego macierzyństwa? Obszerne sprawozdanie Jana Starczewskiego *Porzucone dzieci w Polsce i w Warszawie* pokazuje silną zależność między rejonem kraju a nasileniem zjawiska. Najgorsza statystyka odnotowywana była w miastach centralnej i wschodniej Polski – w Warszawie w latach 1934–1936 anonimowo porzucono 1635 dzieci (w mieście mieszkało wówczas 1200 tys. mieszkańców), w Łodzi

<sup>15</sup> H. Jawidzyk, *Pomoc kobiecie bezdomnej*, „Opiekun Społeczny” 1938, nr 5, s. 40.

<sup>16</sup> J. Starczewski, *op. cit.*, s. 16.

406 dzieci (600 tys. mieszkańców) i w Wilnie 628 (200 tys. mieszkańców). W miastach województw południowych były znaczące różnice – w ponad trzystutysięcznym Lwowie pozostawiono w analogicznym okresie bez opieki 364 dzieci, a w Krakowie, liczącym o niespełna 100 tys. mniej mieszkańców, porzucono ich 82, czyli o 282 mniej niż we Lwowie.

W województwach zachodnich to zjawisko występowało relatywnie rzadko – roczna ilość takich przypadków zawierała się w liczbach jednocyfrowych.

Skalę różnic można zobrazować, zestawiając porównywalne pod względem liczby ludności miasta do liczby pozostawionych dzieci (w latach 1934–1936): Brześć nad Bugiem – 48, Grudziądz – 4, Wilno – 628, Poznań – 23, Lublin – 64, Katowice – 17.

Względnie mała liczba dzieci porzuconych w Poznaniu była po części związana z postępowymi uregulowaniami prawnymi. W województwie poznańskim istniała w tym czasie Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem, której regulamin zakładał bezwzględną walkę ze śmiertelnością w pierwszych latach życia i zobowiązywał ośrodki finansowane przez magistrat do zorganizowania „możliwie dokładnej rejestracji wszystkich kobiet ciężarnych, niemowląt i matek, a zwłaszcza tych, które wskutek rozmaitych przyczyn, nie są w możności zapewnić sobie lub dziecku opieki”<sup>17</sup>. Takie uregulowania musiały przynieść pozytywne skutki.

Liczby porzucanych w różnych miastach dzieci mogą być jednak mylące, ponieważ wiele dzieci przywożono z prowincji, głównie z terenów wiejskich. Doniesienia prasowe mówiły zwykle o 30%, ale Jan Starczewski, biorąc pod uwagę krótki okres jawnego przyjmowania niemowląt do Domu ks. Baudouina, ocenia, że było ich ponad połowa (50–60%). Matki te miały nawet swoją osobną nazwę: „obcogminniczki”<sup>18</sup>. Ten stan rzeczy sugeruje, że w rejonach mniej zurbanizowanych miejskie instytucje opiekuńcze musiały być lepiej przygotowane na interwencyjną pomoc, ponieważ trafiało do nich więcej dzieci niż wynikałoby to z wielkości populacji. Na przykład w województwie śląskim niezdolne do opiekowania się potomstwem osoby, aby pozostawić dziecko, mogły wybrać kilka niezbyt oddalonych od siebie miast – Katowice, Chorzów, Bielsko czy Tarnowskie Góry. Wpływ stopnia zurbanizowania na obciążenie miejskich przytułków pokazują różnice w ilości porzuceń między Lwowem i Wilnem, na niekorzyść tego ostatniego, bo na Wileńszczyźnie i w pobliskim

<sup>17</sup> *Regulamin Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem*, „Opiekun Społeczny” 1931, nr 9, s. 294.

<sup>18</sup> E. Manteuffel, *Walka z podrzucaniem dzieci*, „Opiekun Społeczny” 1937, nr 15, s. 30.

województwie nowogródzkim mniej było miast, w których dało się potajemnie pozostawić dziecko.

Stopień zurbanizowania nie wyjaśnia jednak aż tak wielkich różnic.

## Dyskryminowane matki

Dlaczego dzieci zamieniano w tobołki do podrzucenia w jednych miastach częściej, a w innych rzadziej? Pierwsze skojarzenie podpowiada, że skoro ofiarami były przede wszystkim niemowlęta nieślubne, to więcej pozostawiano ich tam, gdzie więcej ich się rodziło. Jednak takiej kalkulacji nie potwierdzają statystyki, chociaż bezsporny jest fakt, że dzieci nieślubne najczęściej stawały się ofiarami rodzicielskiej niemocy. W przedwojennej Polsce rodziło się ich co roku ok. 57 tys., najwięcej w województwach zachodnich (8,4% dzieci nieślubnych) i południowych (7,6%), a mniej tam, gdzie były przede wszystkim pozostawiane, czyli na wschodzie (4,5%) i w centrum (5%).

Ten paradoks daje się jednak uzasadnić. Jeżeli istniała bezsprzeczna zależność między pozamałżeńskim urodzeniem a zagrożeniem porzucenia oraz wyraźnym zmniejszeniem szansy na przeżycie, to należy szukać wyjaśnienia w sposobie traktowania nieślubnych dzieci, w formach włączania ich w ramy struktur społecznych bądź w obowiązujących formach wykluczania.

Istotny jest natomiast fakt, że nie można też wskazać prostej relacji między ilością porzuconych dzieci a skalą bezrobocia, co jednoznacznie potwierdza konfrontacja statystyk. W Wilnie i we Lwowie było mniej bezrobotnych niż w Poznaniu i Katowicach, a porzuconych dzieci 20 razy więcej. Ta różnica częściowo daje się wytłumaczyć większą zamożnością ludności zamieszkałej w zindustrializowanej, zachodniej części Polski, a to zawsze dawało pewną szansę nawet w sytuacji bezrobocia. Brak pracy jednej osoby w rodzinie mógł być rekompensowany przez innych członków wielopokoleniowych rodzin. Zubożała małorolna wieś nie miała natomiast żadnych rezerw, była za to mocno przeludniona. Najistotniejszy wpływ na traktowanie takich urodzeń miał system kodyfikacji, odmienny w różnych dzielnicach pozaborczych.

Na najlepszą opiekę prawną mogły liczyć matki w dawnym zaborze pruskim, gdzie równocześnie dość liberalnie traktowano nieślubne potomstwo. Relatywnie przychylna kodyfikacja łagodziła agresywną niechęć, znaną w innych dzielnicach pozaborczych. Alimenty zasądzały sądy opiekuńcze, a uchylanie się ojców przed ich płaceniem było trudne albo wręcz niemożliwe. Kobieta miała zatem szansę na minimalne zabezpieczenie.



Tymczasem w byłej Kongresówce obowiązywały ustawy kodeksu cywilnego Królestwa Polskiego z fatalnym art. 305 brzmiącym stanowczo: „poszukiwanie ojcostwa jest zabronione”. Dziecku nieślubnemu nie wolno było nosić nazwiska ojca, zakazane było także roszczenie praw majątkowych po nim. Mimo że w 1913 r. dopuszczano możliwość ubiegania się o alimenty, to sądy nadal brały pod uwagę argument *exceptio plurium concubentium*, czyli zarzut współżycia matki dziecka z wieloma mężczyznami, który w praktyce umożliwiał obalenie domniemania ojcostwa. Michał Orzęcki w artykule *Rodzina dziecka nieślubnego* komentuje, że na takich rozprawach w sądach grodzkich chętnie pojawiają się „znajomkowie ojca”<sup>19</sup>, którzy zeznają, że kobieta „prowadziła się nienormalnie” i dlatego nie wiadomo, czyje to dziecko.

W II połowie lat 30. ruszyła kampania na rzecz uznania praw dzieci nieślubnych, postulująca także zmiany w zasadach przysposobienia małoletnich.

W sejmie nowelizacją ustawy zajęła się Wanda Pełczyńska, ale jej wysiłki i płomienne przemówienia, a nawet samo złożenie projektu zmian do laski marszałkowskiej nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Ustawa o ułatwieniu przysposobienia małoletnich weszła w życie tuż przed wojną, w lipcu 1939 r., a więc nie miała realnego wpływu na sytuację dzieci znajdujących się w instytucjach opiekuńczych. Wprowadzone wówczas procedury adopcyjne obejmowały m.in. dzieci, których rodzice „są nieznanymi i nie zostali ujawnieni w ciągu lat 2, albo dziecka opuszczonego, któremu rodzice nie zapewniają utrzymania w ciągu lat 3 i które korzysta z opieki społecznej”<sup>20</sup>. W ustawie obniżony został dopuszczalny wiek osób, które mogły starać się o przysposobienie, a także złagodzone zostały obwarowania wyznaniowe.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że przed uchwaleniem ustawy ułatwiającej przysposobienie istniała możliwość umieszczania dzieci w rodzinach zastępczych, ale polegała ona na sprawowaniu opieki przez przybranych rodziców w zamian za opłatę uiszczaną przez poszczególne magistraty. Dysponujemy częściowymi danymi pokazującymi rozmiar tej formy pomocy. Otóż Żydowski Związek Opieki nad Sierotami umieścił w latach 20. 10 tys. dzieci w rodzinach zastępczych, natomiast magistrat łódzki znalazł taką formę opieki dla 600 dzieci<sup>21</sup>. Propagatorzy tej akcji podkreślali, że rodzinna opieka jest mniej kosztowna niż instytucjonalna. W 1930 r. został powołany Komitet Umieszczania Sierot w Rodzinach.

<sup>19</sup> M. Orzęcki, *Rodzina dziecka nieślubnego*, „Opiekun Społeczny” 1937, nr 15, s. 38.

<sup>20</sup> Ustawa 416 z 13 VII 1939 r. o ułatwieniu przysposobienia małoletnich, Dz.U. 1939, nr 63, poz. 416, art. 5, pkt. 2.

<sup>21</sup> *Kronika krajowa*, „Opieka nad Dzieckiem” 1931, nr 9, s. 300.

Wprowadzany ewolucyjnie system zmian w prawie rodzinnym był komentowany w pismach specjalistycznych („Opieka nad Dzieckiem”, „Opiekun Społeczny”, „Dos Kind”), sprawy te podejmowali także dziennikarze tygodników o tematyce ogólnej i pism dla kobiet. W publicznej debacie pojawiał się problem dyskryminacji matek i dzieci nieślubnych. Artykuły prasowe ujawniały jej rozmiary. Emilia Manteuffel przytacza jedną z ludowych etykietek przyklejanych do dzieci ze związków nieformalnych i jak twierdzi, wciąż łatwą do usłyszenia: „niech będzie potępione dziecko czarta”<sup>22</sup>.

W ocenie wypowiedzianej kilka lat wcześniej przez Henryka Rubinrauta bezwzględność prowincji nie przedstawiała się aż tak jaskrawo: „wiejska megiera – twierdzi reporter – nie jest już w stanie wmówić chłopom, że «grad sprowadziła nieślubna matka»”<sup>23</sup>, niemniej „nielegalne” potomstwo jest argumentem w odmowie pracy, zapomogi czy wynajęcia pokoju. Prześladowanie nie ma motywacji metafizycznej, lecz ekonomiczną.

O sytuacji społecznej samotnych matek wiele mówią też sprawozdania z działań poradni opiekuńczej w Domu ks. Baudouina. Jej pracownicy prowadzili bezskuteczne negocjacje z rodzinami kobiet. Pertraktacje zwykle kończyły się fiaskiem, a listy zwrotne w tych sprawach – jak twierdzi Starczewski – zawierały spazmatyczne złorzeczenia i klątwy<sup>24</sup>.

Nie da się uniknąć powiązania ponurych statystyk z rozpoznaniem obyczajowymi. Były one dostrzegalne również dla badaczy przedwojennych. Liczmanem w ich analizach stał się przykład Berlina i Wiednia, gdzie przypadki pozostawiania dzieci zdarzały się sporadycznie. To prowadziło do ogólnych wniosków, formułowanych m.in. przez Starczewskiego, który interpretował te zachowania w kontekście obyczajowym i bezkompromisowo kwitował: „Odgrywa rolę stan kultury duchowej ludności”<sup>25</sup>. Tego typu jednoznaczne stwierdzenia nie wszystko tłumaczą i wciąż pozostaje pytanie o realne możliwości wyboru i działania w danym systemie społecznym.

Zakładam, że matki poznańskie nie były mniej ani bardziej wrażliwe na los swoich dzieci od matek wileńskich, ale funkcjonowały w innym systemie kolektywnym. Prowadzi to do pytania o *habitus*, rozumiany w sensie zaproponowanym przez Pierre’a Bourdieu jako nabyty w kontekście społecznym wzór myślenia i zachowania, realizowany w biografiach jednostkowych. Jako

<sup>22</sup> E. Manteuffel, *op. cit.*, s. 28.

<sup>23</sup> H. Rubinraut, *op. cit.*, s. 2.

<sup>24</sup> J. Starczewski, *op. cit.*, s. 12.

<sup>25</sup> *Ibidem*.

sprężenie życia zbiorowego i indywidualnego, objawiające się w formie presji społecznej na styl życia jednostki.

## Skrytobójstwo

Rygoryzm obyczajowy doprowadził do wykluczenia dzieci nieślubnych z taką skutecznością, że wiele matek nie widziało innego wyjścia tylko potajemne ich porzucenie, a nawet – jak zakładam – skrytobójstwo. Nie sposób nie wziąć tego domniemania pod uwagę. Choć problem był raczej tabuizowany i nawet jeśli ogólnie podejmowano go w publicznych debatach, to bywał ledwie sygnalizowany.

Wanda Melcer przy okazji pisania o bezdomnych kobietach stwierdzała: „jedyna rzecz, co im wolno, to rodzić dzieci, naprawdę do bezdomnych szczeniąt podobne. Wyrodna matka topić je potem będzie w kloace, łagodniejszych obyczajów podrzuci w mróz pod drzwiami bogatym ludziom”<sup>26</sup>. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę retoryczną skłonność do hiperbolizacji autorki uprawiającej równoległe dwa gatunki – reportaż i prozę fabularną – to ta uwaga nie pozostawia złudzeń.

W historii kultury dzieciobójstwo miało bogatszą tradycję niż wynikałoby to z wiedzy o przeszłości skonstruowanej przez refleksję głównego nurtu.

Przywołam najpierw przykład starożytnej Grecji, gdzie istniały dwa sposoby pozbywania się dzieci.

Pierwsze – *apothesis* – dokonywane było w miejscu, w którym niemowlę nie miało szans na przeżycie i było skazane na pewną śmierć, drugi zaś sposób – *exthesis* – polegał na pozostawieniu dziecka w miejscu, gdzie mogło zostać odnalezione<sup>27</sup>. Jednak jeśli ktoś je znalazł i uratował, to i tak jego los wydawał się z góry przesądzony, bo przeznaczane było do niewolniczej pracy i zasilalo najędzniejsze warstwy społeczne.

W nowożytnej Europie w różnych krajach istniały tego typu procedery. Znane są przykłady angielskich matek, „które porzucały swe umierające niemowlęta w rynsztokach albo na londyńskich śmietnikach, gdzie martwe dzieci gniły bez pochówku”<sup>28</sup> – pisze Elisabeth Badinter, która równocześnie dokładnie omawia obyczaje wychowawcze w osiemnastowiecznej Francji.

<sup>26</sup> W. Melcer, *Nocuję w przytulku*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 37, s. 2.

<sup>27</sup> J. Lubczyński, *Porzucanie dzieci w świetle historii*, „Opiekun Społeczny” 1937, nr 15, s. 3.

<sup>28</sup> E. Badinter, *Historia miłości macierzyńskiej*, tłum. K. Choiński, Warszawa 1998, s. 64.

Powszechna praktyka odsyłania dzieci z Paryża do opłacanych mamek na wsi radykalnie zmniejszała szanse niemowląt na przeżycie. Alarmująco wysoka śmiertelność dzieci nie wzbudzała większej troski społecznej. Informacja o śmierci dziecka, która przychodziła do rodziców zwykle z opóźnieniem, w pamiętnikach z epoki kwitowana była konwencjonalną formułą o Bogu, opiece i aniołkach.

Udokumentowane przykłady równie ponurego losu dzieci można znaleźć bliżej – w Galicji i na ukraińskiej Bukowinie. Tamtejsze kroniki policyjne z końca XIX w. ujawniają proceder „fabrykowania aniołów”, przy czym wówczas metafora ta miała inne znaczenie niż w okresie międzywojennym i oznaczała pozbywanie się niechcianych dzieci polegające na odpłatnym oddawaniu ich mamkom. Te zaś szybko pozbywały się podopiecznych poprzez zagłodzenie albo wywoływanie choroby, choćby wystawiając dziecko na mróz. Martin Pollack w eseizowanej rekonstrukcji historii Galicji przywołuje Augusta Röhmera, lekarza z Czerniowca na Ukrainie, który oskarżył 34 kobiety o uprawianie tego procederu. Wszczęte dochodzenie potwierdziło podejrzenia<sup>29</sup>. We Lwowie także działały fałszywe mamki. Zajęcie takie udowodniono kilku kobietom – Annie Kowal, Miriam Blum i Parance Maksymischin. Ta ostatnia została skazana na karę śmierci, ponieważ wyjątkowo okrutnie „fabrykowała anioły”. Przypadek jednej z ofiar, Lei Münz, jest jak opowieść grozy – trzynastomiesięczna dziewczynka została uduszona gałgankiem napakowanym igłami sosnowymi<sup>30</sup>.

Pozostaje tajemnicą, czy matki, przekazując dziecko wraz z niewielką opłatą, miały świadomość metod działania mamek. Na pewno same nie były w stanie zaopiekować się dziećmi z powodu nędzy albo „hańby” nieślubnego macierzyństwa. W każdym razie instytucja groźnej mamki znana była i we Francji, i w Galicji. Różnica polegała na tym, że sam zwyczaj oddawania dzieci urodzonych w Paryżu na prowincję był w XVIII w. we Francji rozpowszechniony i wiele mamek dobrze opiekowało się powierzonymi dziećmi, i w ten sposób przez wiele lat zdobywały środki na utrzymanie. Wśród nich zdarzały się natomiast takie jak Marie Bienvenue, która w ciągu roku i dwóch miesięcy pozbawiła życia 31 dzieci<sup>31</sup>. Na rubieżach monarchii austro-węgierskiej działały niby-mamki, ale nie istniał zwyczaj oddawania potomstwa zastępczej karmicielce.

---

<sup>29</sup> M. Pollack, *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji*, tłum. K. Niedenthal, Wołowiec 2011, s. 51–52.

<sup>30</sup> *Ibidem*, s. 54.

<sup>31</sup> E. Badinter, *op. cit.*, s. 10.

Bezkarność procederu – tu i tam – wynikała z łatwego ukrycia spowodowanej śmierci z powodu ogólnie dużej umieralności niemowląt, a w Galicji wiązała się także z nieprecyzyjnym rejestrowaniem noworodków, głównie w ramach instytucji wyznaniowych. W Galicji o sto lat później niż we Francji przenikały do prasy informacje o losie dzieci przekazywanych mamkom. Brzmiały potwornie. Czy jednak mogło to zmienić świadomość i uchronić przed taką decyzją naiwne i zdesperowane kobiety, skoro zwykle były one nie tylko biedne, ale też niepiśmienne. Mamki były swego rodzaju pośredniczkami między życiem a śmiercią.

Część matek musiała to wiedzieć.

Elisabeth Badinter twierdzi, że wiele matek nie było w stanie ratować dzieci za cenę własnego życia, co wcale nie znaczy, że były pozbawione miłości macierzyńskiej. Badaczka formułuje tezę, że instynkt życia był silniejszy od instynktu macierzyństwa i podkreśla znaczenie katastrofalnej sytuacji ekonomicznej kobiet niezdolnych do podjęcia opieki. „Dzieciobójstwo, w najrozmaitszych jego postaciach, było udziałem kobiet najbiedniejszych. Rola czynnika ekonomicznego w tych morderczych praktykach jest nie do przecenienia. Nikomu nie przyszłoby na myśl twierdzić, że wszystkie kobiety, które w taki czy inny sposób porzucały swoje dzieci, czyniły to z braku miłości macierzyńskiej”<sup>32</sup>.

Statystyka umieralności niemowląt w okresie międzywojennym prowadzi do wniosku, że podobnie jak nieco wcześniej we Francji czy Galicji, również w okresie międzywojennym praktykowane były różne sposoby pozbywania się dzieci – albo przez podrzucenie, albo uśmiercenie.

Stawiam śmiałą tezę, że przedwojenne matki w Polsce dokonywały wyboru między *apothesis* a *exthesis*.

Należy oczywiście wziąć pod uwagę realne zagrożenia przy pokątnych połogach, odbywających się bez wykwalifikowanej pomocy i traktowanych jako wstydlive. Także po urodzeniu istniało zwiększone narażenie biologiczne niemowląt, którym matki – wygnane z własnych domów – nie były w stanie zapewnić odpowiedniej ochrony higienicznej i dietetycznej. Nawet względ na takie obiektywne komplikacje nie pozwalała na pominięcie logicznego wyjaśnienia, że część niechcianych dzieci musiała być zabijana po urodzeniu.

---

<sup>32</sup> *Ibidem*, s. 54.

## Skala trudności

Samodzielne podjęcie opieki nad dzieckiem było organizacyjnie trudne nawet dla kobiet wyemancypowanych i niebiednych, a także mających poczucie akceptacji. Przykładem może być Aleksandra Szczerbińska, późniejsza żona Józefa Piłsudskiego, która urodziła pierwszą córkę Wandę na początku 1918 r., kiedy przyszedł mąż był internowany w Magdeburgu. „Jak każda matka w owych czasach – wspominała po latach – kłopotalam się jeszcze przed porodem o warunki życia dla oczekiwanego dziecka. O tym, żebym mogła zaprzestać pracy trudno było marzyć; odżywianie było nędzne: zupa, kasza i strasznie nędzny chleb, który nawet trudno było przełknąć. [...] W jedenaście dni po porodzie poszłam do biura. Na szczęście, w budynkach fabrycznych było kilka pustych pokojów. Jeden z nich wynajęłam, tak że w czasie pracy mogłam kilkakrotnie zaglądnąć do dziecka, samotnie leżącego w łóżeczku”<sup>33</sup>. Tak funkcjonowała po urodzeniu dziecka kobieta dość uprzywilejowana, znana w środowisku PPS-owskim jako działaczka i towarzyszka życia Piłsudskiego. Dyrektor fabryki, w której pracowała – Feliks Turowicz – był członkiem PPS-Frakcji Rewolucyjnej i mogła liczyć na jego przychyłność i pomoc chociażby z tego powodu, że była matką pierwszej córki Komendanta. Obrazek małej Wandy, leżącej w pustym przyfabrycznym pokoju, mówi sam za siebie. Wkrótce ten pozostawiony samotnie osesek będzie kojarzony w Polsce jako jedna z dwóch dziewczynek kręcących się na schodach Belwederu. Sytuacja Aleksandry Szczerbińskiej była nieporównanie lepsza niż innych samotnych matek, a mimo to wymagała determinacji i hartu.

## Dysproporcje szans

Życie ubogich i samotnych matek musiało być wyjątkowo trudne. Dramatyzm ich sytuacji ujawniają zatrważające dysproporcje śmiertelności między dziećmi urodzonymi w związkach małżeńskich i poza nimi. Zajmująca się tymi zagadnieniami Wanda Tarnowska w artykule *Dzieci nieślubne* pisała: „podczas gdy śmiertelność wśród dzieci ślubnych wynosi około 10 procent – wśród dzieci nieślubnych przekracza 50 procent”<sup>34</sup>. Tekst opublikowany został w dwutygodniku „Moja Przyjaciółka”, rozchodzącym się w dwudzie-

<sup>33</sup> A. Piłsudska, *Wspomnienia*, Warszawa 1989, s. 166.

<sup>34</sup> W. Tarnowska, *Dzieci nieślubne*, „Moja Przyjaciółka” 1934, nr 15, s. 300.

stotysięcznym nakładzie, większym niż renomowany „Bluszcz”, można więc przyjąć, że miał realną siłę oddziaływania. Część opinii publicznej musiała mieć świadomość tego stanu rzeczy, co zresztą w najmniejszym stopniu nie złagodziło ataków na Tadeusza Boya-Żeleńskiego za trzeźwą ocenę obyczajów formułowaną w jego publicystyce społecznej.

Dane przywołane przez Tarnawską warto uzupełnić dodatkowymi statystykami. Stanisława Orzechowska w „Opiekunie Społecznym” podaje liczby demograficzne odnotowane w Warszawie w 1935 r. W ich świetle spośród 14 556 dzieci urodzonych w małżeństwach zmarło 252, natomiast z 1280 dzieci nieślubnych zmarło 260 noworodków<sup>35</sup>. W badanej grupie śmiertelność dzieci urodzonych poza formalnymi związkami była prawie dwunastokrotnie większa. Występowały w rejestrach najczęściej jako martwe urodzenia.

Trzy lata później, w tym samym czasopiśmie, Mikołaj Łacki przedstawił separatywne statystyki dotyczące ludności chrześcijańskiej w Warszawie. Zgodnie z zamieszczoną przez niego tabelą w 1935 r. urodziło się 887 dzieci nieślubnych, a zmarło 403, czyli niemal połowa. Równocześnie szczegółowe analizy Łackiego prowadzą do sformułowanej przez niego konkluzji, „że umieralność niemowląt nieślubnych w Warszawie jest 5 do 8 razy wyższa, niż umieralność niemowląt ślubnych”<sup>36</sup>.

Trzeba dodać, że spraw o dzieciobójstwo objętych dochodzeniami policyjnymi w 1935 r. było 932<sup>37</sup>. Najwięcej zgłaszano ich w województwach centralnych (412), o połowę mniej w województwach południowych (210), wschodnich (189) i najmniej w województwach zachodnich (77), choć dysproporcja między południem a zachodem była w rzeczywistości nieco niższa, ponieważ województwa zachodnie zamieszkiwała o połowę mniejsza populacja.

W każdym razie wzmożona umieralność w grupie niemowląt nieślubnych jest niezaprzeczalna. O tym, że dyskryminacja matek musiała mieć wpływ na ten stan rzeczy przekonują różnice między liczbą zgonów niemowląt wśród chrześcijan i Żydów. W pierwszej grupie śmiertelność była wyraźnie wyższa. W Warszawie w przeliczeniu na tysiąc urodzeń różnice kształtowały się następująco: w 1927 r. umarło 165 dzieci chrześcijańskich (na tysiąc urodzeń) i 113 dzieci żydowskich (na tysiąc urodzeń); rok później 144 dzieci chrześcijańskich i 98 żydowskich. Ta szokująca tendencja utrzymywała się w całym dwudzie-

<sup>35</sup> S. Orzechowska, *Zapobieganie podrzucaniu dzieci przez roztoczenie opieki nad matką*, „Opiekun Społeczny” 1937, nr 15, s. 34.

<sup>36</sup> M. Łacki, *Stan opieki nad niemowlętami w Warszawie*, „Opiekun Społeczny” 1938, nr 5, s. 11.

<sup>37</sup> *Niektóre przestępstwa zameldowane policji*, „Mały Rocznik Statystyczny” 1938, s. 350.

stoleciu. Przywołam jeszcze statystyki z 1935 r., które odnotowują śmierć 120 dzieci chrześcijańskich i 83 żydowskich, oraz w kolejnym roku: 129 dzieci chrześcijańskich i 86 żydowskich (także na tysiąc urodzeń)<sup>38</sup>.

Można spróbować wytłumaczyć te różnice odmiennością habitusu, a konkretnie podejściem do ceremonii ślubu. Chociaż matki nieślubne i w jednej, i drugiej społeczności były natychmiast dotknięte anatemą, to praktyka sprzyjała kobietom żydowskim. „Ślub żydowski – pisał Henryk Rubinraut – jest obrzędkiem tak łatwym do zawarcia i zerwania, że uwodziciele zamiast przysięgać «Bóg mi świadkiem, że ożenię się z Tobą» i spędzać długie wieczory na bałamuceniu dziewczyny, wołają po prostu wziąć dwu świadków, ożenić się i... w odpowiedniej chwili drapnąć. Żydowskie śluby religijne, nie mające znaczenia prawnego, nawet nie dają dziecku nazwiska ojca, ale obdarzają matkę godnością ślubnej małżonki [...] tandetny obrządek, pozbawiony dodatków biurokratycznych, ma swoje dobre strony, bo daje w konsekwencji dziecku opiekę matki. Żydówka odbiera swój depozyt bez lęku, że macierzyństwo złamie jej życie. Składanie Bogu, zamiast ofiar żywych, zwierząt ulepionych z ciasta, ma swoją godną pochwałę tradycję”<sup>39</sup>.

„Tandetny obrządek”, jak Rubinraut określił ślub pod chupą, udzielany czasem nawet bez obecności rabina, dopuszczał kobiety do rodzenia dzieci bez obawy środowiskowego wykluczenia. Używając socjologicznych kategorii Ulricha Becka, można uznać, że system ten był inkluzywny, w przeciwieństwie do ekskluzywności obrzędowej katolicyzmu. W konsekwencji także rozwód w przedwojennych rodzinach żydowskich nie był niczym nadzwyczajnym.

Talmudyczne dostosowywanie praw biblijnych do realiów życia miało swoje ocalające skutki, bo desperacja Żydówek rzadziej powodowana była restrykcjami obyczajowymi, co wprost wynikało z łatwości zawierania związku małżeńskiego. Powodem zostawiania dzieci w przytułkach nie był wstydlivy sekret i dlatego matki nie bały się ich potem odwiedzać.

Rubinraut podkreśla, że matki Żydówki i matki Polki kierują się różnymi motywacjami. Do dzieci porzucanych w domu żydowskim dołączone są kartki informujące o ich tożsamości, „imię i nazwisko – komentuje lekarz-reporter – bywa przeważnie zmyślone, jak godło, które zostawia się w PKO po złożeniu kapitału do kasy państwowej. W ten sposób, nie zdradzając swojego incognito, matka ułatwia sobie odebranie dziecka, gdy tylko warunki jej na to pozwolą”<sup>40</sup>.

<sup>38</sup> M. Łacki, *op. cit.*, s. 11.

<sup>39</sup> H. Rubinraut, *op. cit.*, s. 2.

<sup>40</sup> *Ibidem*.



W chrześcijańskim schronisku takie etykietowanie niemowląt zdarzało się sporadycznie.

## Są czyste i smutne

Do pewnego stopnia możliwy jest wgląd w to, jak toczyły się pierwsze lata życia przytułkowych dzieci. Teksty reporterskie ujawniają szczegóły pozostające poza oficjalnymi sprawozdaniami. O sierocińcach pisali reportażyści i pisarze – Henryk Rubinraut, Maria Kuncewiczowa, Helena Boguszewska oraz Andrzej Wolica, autor fabularyzowanej prozy dokumentarnej *Ulica Ogrodowa*.

Relacje dokumentalistów nie pozostawiają złudzeń. „To jest jak gdyby basen – pisze Kuncewiczowa – w który codziennie spływa jedna kropla, wytrawiona z najpotworniejszych cierpień, z najgłupszych paradoksów: jeden podrzutek”<sup>41</sup>.

Także u Henryka Rubinrauta nie zabrakło ponurych refleksji, mimo że w pewnym sensie jego reportaż ma cechy tekstu interwencyjnego, w którym próbuje on skłonić czytelników do podejmowania opieki nad porzuconymi dziećmi i dlatego celowo pomija obciążającą je stygmatyzację i cierpienie, a podkreśla ich piękno i niezwykłość. „W oczach dzieci – pisze lekarz i społecznik – błękitnych, czarnych, złotych, zielonych, opuszczonych skromnie, jak oczy mniszek, podniesione nagle lekliwie pod wpływem ciepłego słowa – maluje się ostry, przejmujący głód miłości. Jest jakaś dziura w tych oczach, która powinno się zapełnić, jest jakieś pytanie, na które powinno się odpowiedzieć”<sup>42</sup>.

Relacja Rubinrauta, pod charakterystycznym tytułem *Podrzutki czystej i nieczystej rasy*, wskazuje różnice w funkcjonowaniu dwu schronisk: Domu Wychowawczego im. ks. Baudouina i Domu Opieki dla dzieci żydowskich, który należał do Fundacji Głównego Domu Schronienia Starozakonnych. Reporter odwiedził nową siedzibę przy ul. Płockiej, gdzie przeniesiono schronisko ze starego domu przy ul. Ogrodowej. Istniał też sierociniec żydowski przy ul. Jagiellońskiej, ale tam z powodów ortodoksyjnych nie przyjmowano podrzutek z obawy przed ich niewiadomym, być może nieżydowskim pochodzeniem. Analiza Rubinrauta jest cenna jako źródło informacji o funkcjonowaniu tych instytucji, a także jako prezentacja świadomości i odczuć naocznego obserwatora. Jej walorem jest sama struktura wypowiedzi, oparta na

<sup>41</sup> M. Kuncewiczowa, *Sen podrzutek*, w: *eadem*, *Dylizans warszawski*, wyd. 6, Warszawa 1997, s. 57.

<sup>42</sup> H. Rubinraut, *op. cit.*, s. 2.

porównaniach, konfrontujących odmienność funkcjonowania dwóch zakładów opiekuńczych.

W porządku przedstawieniowym reportaż o sierocińcach jest zawsze odwołanie do konkretnych liczb i miejsc. Służą one obrazowaniu i konkretyzacji, dokonywanej często za cenę uogólnień. Kuncewiczowa pisze o 46 „podrzutkach” przeciętnie zastawianych co miesiąc w Warszawie. Statystyka miesięczna była oczywiście bardzo zróżnicowana – od 38 niemowląt zostawionych w grudniu 1936 r. do 74 porzuconych w kwietniu następnego roku. Celem tekstów reporterskich była sugestywna przedstawieniowość, a nie precyzyjne analizy. Rubinraut dokonuje również koniecznych uproszczeń – przytacza przykłady francuskie i stwierdza, że dzięki inwestycjom w domy opiekuńcze „śmiertelność z 92% spadła do 42%”<sup>43</sup>. Śmiertelność sięgająca aż 90% istotnie miała miejsce w przytułku Rouen w krytycznym ostatnim trzydziestoleciu XVIII w., ale w tym samym czasie w Marsylii była znacznie niższa, sięgała połowy podopiecznych<sup>44</sup>. Krytyczne 90% pojawia się w reportażach przytułkowych bardzo często, ale zdaje się, że ta maksymalizacja jest raczej wynikiem powtarzania, skądinąd wzmacniającego efekt, nie pochodzi natomiast z dokładnych obliczeń.

Przedwojenni autorzy dostrzegają, że nie ma ścisłej zależności między beznadziejną sytuacją ekonomiczną rodziców a pozbywaniem się dzieci. Rubinraut dzieli podopiecznych na dzieci zostawione na ulicy, dzieci „mamek” i dzieci „sekretnie”. „Mamki” to kobiety, które nie porzuciły niemowląt, tylko zgłosiły się z nimi do Domu Wychowawczego, gdzie przez pół roku znajdują schronienie w zamian za karmienie piersią kilku noworodków. Pisarz nazywa je „mszycami” przez skojarzenie ze stadnym obleganiem wysysanej gałązki, co jest jednak skojarzeniem *à rebours*, bo to raczej te oseski przy „istotach-piersiach” przypominają mszyce.

Natomiast „dziecko sekretne przynoszą zwykle młode, zamożnie ubrane kobiety lub rodzice panny z dobrego domu. Żywy sekret przyjeżdża często autem, nakryty koronkową kołderką. Dziadzio ma łzy w oczach, babcia jest nerwowa, ale stanowcza, chce jak najprędzej spełnić swój obowiązek i porzucić progi szpitala. Przecież jesteśmy ludźmi kulturalnymi – mówi trzęsąc się ze zdenerwowania – i nie pozwolilibyśmy podrzucić tego nieszczęsnego biedactwa. Oto są pieniądze na zakład... i niech je Bóg ma w swojej opiece”. Karykatura mieszczańskiej hipokryzji nie wydaje się całkiem oddalona od realiów. W każdym razie nędza nie była jedyną przyczyną oddawania i porzucania.

<sup>43</sup> *Ibidem*.

<sup>44</sup> E. Badinter, *op. cit.*, s. 100.

Filisterscy dziadkowie sami przynoszą „sekretne” dziecko, bo anonimowe podrzucanie łączyło się z ryzykiem, było prawnie zakazane. W kodeksie karnym ogłoszonym w 1932 r. znalazł się art. 200 stanowiący, że: „Kto wbrew obowiązkowi opieki lub nadzoru porzuca dziecko poniżej lat 13 [...] podlega karze do lat 5”<sup>45</sup>. Konsekwencje były jasno określone, a równocześnie coraz skuteczniej odszukiwano matki porzuconych dzieci. Przełomowy był pod tym względem 1936 r., kiedy wykrywalność objęła ponad połowę takich przypadków. Jednak nie zmalała liczba skrytych porzuceń. Pokazują to statystyki: w 1935 r. takich spraw zgłoszonych na policję było 2142, rok później – o 99 więcej, w kolejnym zaś 1937 r. – o 333 więcej niż dwa lata wcześniej, czyli 2475<sup>46</sup>. Wskazane liczby są wiarygodne, w przeciwieństwie do rejestrowanych policyjnie przypadków dzieciobójstwa, które były zdecydowanie zaniżone.

Przytulkowe dzieci są fizycznie zadbane – takie wrażenie mają autorzy odwiedzający domy opieki. Maria Kuncewiczowa mnoży amplifikacje: „czyste, odkazone pieluchy”, niezgniecione fartuchy, śnieżyste kryzki<sup>47</sup>, nieposzlakowane śliniaki. Podobnie w relacji Rubinrauta: „czystość wzorowa”, „higiena sal [...] idealna”, „przepych higieniczny”, „śliczne fartuszki, wychuchane przez siostry, są czyste przy końcu tygodnia”<sup>48</sup>. Dzieci są wyczesane, leżą „sucho, schludnie”<sup>49</sup>. Kobiety „w różowych i niebieskich kitlach ciągle coś szorują”<sup>50</sup>.

Rewersem lśniącej czystości jest smutek, opuszczenie, bezruch. U Rubinrauta ten obraz uzupełnia zestawienie nienagannej higieny z posłuszeństwem i pobożnością. Kontrastuje – przy okazji realizowanego w całym tekście porównania – rygor zaprowadzony przez zakonnice z większą swobodą dopuszczaną w sierocińcu żydowskim. Zauważana przez reportera surowość obyczaju w chrześcijańskim przytulku wynikała z długiej tradycji tego miejsca. Wielka instytucja miała wypracowane formy funkcjonowania, choć wówczas podejmowano próby reorganizacji, polegającej na tworzeniu opieki przyzakładowej oraz otwarciu zakładu dla dzieci, które miały rodziców niezdolnych do zapewnienia im bytu<sup>51</sup>. Jednak najwidoczniej skostniała struktura niełatwo poddawała się nowej, mniej rygorystycznej pedagogice.

Szczegółowe relacje reporterów są jednak przynębiające.

<sup>45</sup> Kodeks karny z 11 VII 1932 r., rozdz. 31, art. 200.

<sup>46</sup> *Niektóre przestępstwa zameldowane policji...*, s. 350.

<sup>47</sup> M. Kuncewiczowa, *op. cit.*, s. 58, 60.

<sup>48</sup> H. Rubinraut, *op. cit.*, s. 2.

<sup>49</sup> M. Kuncewiczowa, *op. cit.*, s. 58.

<sup>50</sup> *Ibidem*.

<sup>51</sup> Por. E. Bartkowiak, *op. cit.*, s. 183.

Dzieci w ochronkach są czyste i smutne. Poddawane rygorowi i dyscyplinie. Surowo karane i bite. Dokumentalistów zwiedzających te miejsca „nie opuszcza poczucie katastrofy”<sup>52</sup>.

Natomiast komuś, kto z dzisiejszej perspektywy próbuje interpretować tamte sytuacje narzuca się podejrzenie, że w Polsce międzywojennej w niektórych środowiskach panowało przekonanie, sformułowane przez François Lebrun w odniesieniu do osiemnastowiecznej Francji: „na płaszczyźnie ludzkiej śmierć małego dziecka odbierana jest jako niemal banalny wypadek, który zrekompensują następne urodziny”<sup>53</sup>.

---

<sup>52</sup> M. Kuncewiczowa, *op. cit.*, s. 58.

<sup>53</sup> F. Lebrun, *Les hommes et la mort en Anjou, aux XVII<sup>e</sup> et XVIII<sup>e</sup> siècles. Essai de démographie et de psychologie historiques*, Paris 1971, cyt. za: E. Badinter, *op. cit.*, s. 63.